

JAN SKŁODOWSKI

Sława Pruszyńska i jej tatrzańskie wiersze

Twórczość Sławy (Stanisławy) Pruszyńskiej (ur. ok. 1888–1945), dziś zapomnianej, jednej z najwybitniejszych młodopolskich polskich poetek, jest znana jedynie wąskiemu kręgowi odbiorców. Złożyło się na to wiele przyczyn – przede wszystkim w ciągu kilkudziesięciu lat od śmierci Poetki pozostawiona przez nią głównie w autografie twórczość poetycka i translatorska pozostawała na uboczu zainteresowań trudnej powojennej codzienności i nowej rzeczywistości, jak gdyby wyrzucona na nieprzyjazny brzeg przez jej nurty, z których inne już muzy czerpały. Ponadto dawniejsze publikacje Poetki, nie tylko te sprzed pierwszej wojny światowej, lecz również z okresu międzywojennego, skutecznie okryła mgła zapomnienia, co dodatkowo zacierało jej wizerunek jako autorki. I wreszcie – jej kresowe, więc przez wiele lat „niepoprawne” pochodzenie jako reprezentantki świata, który stał się nieodwołalną zaprzecznością. A dodać także należy, że i sama Sława wiele z powodów osobistych czyniła, by sławę swą skrywać, skutecznie usuwając ramiona drogowskazów do swej biografii. Tak więc jej poezja jest obecnie jedynie w części znana badaczom epoki i tym nielicznym jej admiratorom, którzy w swych bibliofilskich peregrynacjach natknęli się na dawne edycje utworów Sławy. A wśród nich te nieliczne, które są istotne w poetyckim *oeuvre* Pruszyńskiej jako zawierające w swej treści wyraźne tatrzańskie akcenty, a to ze względu na miejsce Zakopanego, które znalazło się na początku i końcu rozwoju literackiego Sławy jako poetki. Poetki, którą młodopol-

ska zakopiańszczyzna (a może zakopiańska młodopolszczyzna?) w istocie ukształtowała. To ważne – ale o tym nieco później – jako że wprawdzie należy ujawnić kilka kart z frapującego życiorysu Pruszyńskiej.

Odtworzenie jej *curriculum vitae*, także pisarskiego, nie okazało się, mimo licznych przeciwności losu, niemożliwe. Dzięki nieoczekiwanemu, ale sprzyjającemu biegowi zdarzeń, owemu szczęśliwemu trafowi, który to, o paradoksie, jest najczęściej sprawcą przetrwania, jej twórczość nie uległa całkowitemu zaprzepaszczeniu. Zachowała się też, choć w coraz szczuplejszym kręgu pamiętających ją osób, jej legenda, na którą złożyły się wspomnienia jej przyjaciół i dalszej rodziny. O ambitnej, ale i ekstrawaganckiej, o artystycznym zacięciu kresowej pannie, której niefortunne w oczach jej środowiska, bo zawarte nie we własnej sferze, zamażpójście stało się skandalem w szerokich kręgach podkijowskiego ziemiaństwa. Ba, nawet jakoby powodem przedwczesnej śmierci jej ojca. Zachowały się też zbiory poetyckich utworów Sławy, plasujące autorkę w gronie za-

uważonych poetów tego czasu. Nieocenionym świadectwem jej zmagania na poetyckiej niwie jest też korespondencja, którą prowadziła ze Stefanem Żeromskim.

Do *Zbioru poetów polskich XIX w.* Pawła Hertza wprowadziły ją tedy trzy tomiki poezji i liczne utwory publikowane w czasopiśmie jeszcze przed wybuchem I wojny światowej. Poetką dziewiętnastowieczną była jednak tylko z urodzenia, co najwyżej z klimatu niektórych wierszy, pisanych wyłącznie w stuleciu następnym. Aby portret jej nie tylko nie kłamał, lecz przede wszystkim istotną prawdę o niej zawarł, należy wypełnić jego ramy sztafażem biografii, który dając tło rysom zasadniczym, stworzy jedność osobowości poetki z treścią i walorem pozostawionego dzieła.



Sława Pruszyńska z matką, przełom XIX/XX w. (fot. atelier Fr. de Mezer, Kijów, ze zbioru rodziny Sławy Pruszyńskiej)

Muza nie pyta o kalendarz, to ciekawość biografą – tutaj nie w pełni zaspokojona, gdyż rok urodzenia 1888 jest datą jedynie prawdopodobną. Muzie wystarczyło, że Sława przyszła na świat na wypełniającej duszę rozmachem i nostalgią Ukrainie, w majątku Kozarynowka, zwanym też Kozarówka (w parafii Rzyszczów, w powiecie kaniowskim na Kijowszczyźnie), który wraz z zagubionymi w krętych, lesistych naddnieprzańskich jarach folwarkami Pszenicznik i Tabacznik należał do jednej z gałęzi rodu hrabiów Ursyn-Pruszyńskich, herbu Rawicz, szeroko rozrodzonych od kilkuset lat (i skoliigaconych z licznymi domami arystokratycznymi, między innymi Sochaczewskimi i Rzyszczewskimi) na południowo-wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej. Tam to właśnie, w kresowym klimacie *Moborta – rapsodu rycerskiego* Wincentego Pola, polszczyzny i polskości, uczyli jej od dzieciństwa – jak wspomina Sława – najlepsi nauczyciele, bo matka, poezja Słowackiego i muzyka Chopina, a wspomnienie owych lat zawarła w wierszu *Dzieciństwo I* [fragment]:

Z rąk Twych się dowiedziałam, co się wcieliły w klawisze
W jesienny wieczór gwiaździsty, w szeroką pachnącą ciszę,
W pól zżętych dawno milczeniu, w ukojną jesienną slotę –
Z rąk Twych się dowiedziałam – jak umiał tęsknić Szopen.

Wtulona w Twoje kolana, gdy wicher w okna lopoce
Słuchałam Twojego głosu i Słowackiego wierszy –
I świat mi cały rozkwitał, choć zima była dokoła –
Poezją i Polską szerszy...¹

Wrażliwa panna z ziemiańskiego dworu, okazująca od dzieciństwa zainteresowania pisarskie i rysunkowe, kształcona we francuskim i niemieckim, hodowała tęsknotę za Polską i poezją, do której tworzenia czuła się i powołana, i potencjalnie zdolna. Potrzebowała tylko pierwszego impulsu.

Jedni orzekną, że był to świadomy wybór, inni – że przeznaczenie, w każdym razie przyjazd do Zakopanego musiał nastąpić. Stało się to w początkach grudnia 1903 r, kiedy to pod Giewont zjechała z Kijowa Jadwiga Ursyn-Pruszyńska (z domu Sochaczewska) z córką, a fakt ten odnotowuje w „Liście gości” skrupulatny „Tygodnik Zakopiański” z 8 grudnia 1903 r. Była to podróż dla Polaka szczególna, gdyż prowadząca z Polski, której już nie było, do Polski, która dopiero (jak słusznie przeczuwano) będzie, więc eskapada przełomowa, skrajem dwóch epok. Zakopane

¹ Utwory Poetki podano w tekście zgodnie z zapisem oryginału.

było wówczas miejscem kultu narodowego, do którego pielgrzymowano z trzech zaborów, znosząc wytrwale wota w postaci swego polskiego czucia. W przypadku Polaków z Kresów było to pielgrzymowanie rodzaju szczególnego, bo naznaczone, by nie rzec – obciążone, doświadczeniem Rosji, namaszczeniem roku 1863 i późniejszych syberyjskich zsyłek. Tym to traktem i z takim bagażem ciągnęli pod Tatry i Stanisław Witkiewicz, i bracia Józef i Bronisław Pilsudscy, i Karol Szymanowski, i Maria z Sobotkiewiczów Dembowska.

Letnia stolica Polski żyła intelektualnie i artystycznie nadzwyczaj bujnie, z tą niewymuszoną wielkością, kiedy życie kreują osobowości i osobistości zarazem, nigdy instytucje. Znakomitości literackie, malarskie i polityczne kule historię na spotkaniach w pensjonatach i kawiarniach. Bywał na nich także Żeromski, przybyły, nie po raz pierwszy zresztą



Slawa Pruszyńska, rok, miejsce i autor fotografii – nieznane (ze zbioru rodziny Slawy Pruszyńskiej)



Slawa Pruszyńska, rok, miejsce i autor fotografii – nieznane (ze zbioru rodziny Slawy Pruszyńskiej)

pod Tatry, na przelomie października i listopada tegoż 1903 r. na prawie dwuletni pobyt oraz Feliks Gwiżdż (1885–1952, w międzywojniu poseł na sejm i senator), wykształcony Podhalanin, wtedy początkujący poeta i dramatopisarz. Tych dwu literatów poznała garnąca się do zakopiańskiej bohemy Sława Pruszyńska. Pierwszy stał się opiekunem wschodzącej twórczości, prowadząc ją znanymi już sobie dobrze ścieżkami do redakcji pism – „Ateneum”, „Krytyki”, „Lamusa” czy „Wędrowca”, drugi w niedalekiej przyszłości został mężem poetki. Sława zdobyła sobie wkrótce uznanie prasy literackiej i podjęła przygotowania do wydania zbioru wierszy pisanych pod Tatrami oraz podczas wyjazdów do Kijowa, podolskiej Mohylówki, Lwowa i Warszawy. Podejmowała też i dalsze podróże, odwiedzając na przelomie lat 1905/1906 Paryż, Lozanę i Genewę, **będące zapewne miejscem leczenia początków niedomagań płucnych, a także neurastenii, która była przyczyną jej przyszłych klęsk w życiu osobistym.**

Nie uprzedzajmy jednak faktów. W 1905 r. ukazuje się tomik *Poezji*, wydany przez Fiszera – wierszy bardzo w nastroju młodopolskich, pełnych „mglistych oddali”, „niewyśnionych snów”, „sennych duchów”, „omdleń” oraz „śmierci i konań”, odnajdywanych przez poetkę w swej duszy zapewne po lekturze Nadsona czy Ostrowskiej. Niemniej Pruszyńska wyraża w nich jak najbardziej własne intymne przeżycia i nie obawia się ujawniać związanych z nimi nadziei i marzeń. Tomik zdobył uznanie czytelników: „Byłem przez pewien czas w Warszawie – pisze Żeromski. – Dopytywałem się w księgarniach, jak idą *Poezje Sławy i – o hańbo! Dowiedziałem się, że idą...*”.

Niechaj ten stan jej ducha zilustruje zwrotka wzięta z zawartego tam wiersza *Naszą noc*:

– – Nad nami jęki wichru szalejące – –
Dłonie Twe cicho dłonie moje pieszczą – –
– – Liście jesienne rozpacznie szeleszczą – –
– – W otchłani mrocznej, czarnej gwiazdy drżące...

Na Ukrainę powróciła Sława prawdopodobnie wiosną 1906 r., a swe nowe, powstałe w podróży wiersze, w których prócz poszumu własnej duszy słychać także szum fal Jeziora Genewskiego i tatrzańskich smreków, składa w następny tomik, zatytułowany *Najdalszym*. Wydaje go już w roku 1907, w Krakowie u Friedleina. I choć w zebranych tam wierszach czuć jeszcze – jako że młodopolszczyzna zmogła nawet bardzo tęgich ar-

tystów – dawną, zapewne podświadomą, manierę eksponowania wnętrza rozdartego i drapieżnego zarazem, to ich tonacja jest już łagodniejsza, jak gdyby autorka brała rozbrat ze swoją nostalgią, a może nawet zaczynała ją lubić. Nastroj ten wyraża wiersz *Czekam błękitnej wiary*, którego fragment poniżej:

Czekam złotej jesieni, co przyniesie mi ciszę –
Ból na pieśni zamieni – i na sen ukolysze...

Czekam błękitnej wiary – że kochanie ogromne
Przetrwa chłodny dzień szary – że przebaczę – zapomnę...

Rok 1907 okazał się bardzo ważny w życiu Sławy: zamknęła pierwszy okres swej poetyckiej twórczości, dającej wyraz jej wewnętrznemu mocowaniu się z samą sobą, i poślubiła najprawdopodobniej rok później wspomnianego już Feliksa Gwiźdźda. Pod wpływem męża, nie tylko literata, lecz także społecznika-socjalisty i przyszłego pilsudczyka, odchodzi od poezji ku ideom niepodległościowym. Droga ta trwała jednak długo i nim doprowadziła do postawy czynnej, Sława w rok po ślubie opuściła męża (którego nie umiał również zaakceptować jej ojciec, kresowy arystokrata, mawiający, że nazwisko swego plebejskiego zięcia „mógłby tylko zagwiźdać”). Przebywała na przemian w Kozaryńowce i Zakopanem, gdzie mieszkała w Chochliku, Dworku, Stamarze i Lilianie wraz ze swą

córeczką Krystyną Anną (urodzoną w 1909 w Krakowie), a nękającą ją chorobę próbowała pokonać lekturą Janeta, Tetmajera oraz tłumaczeniem Schillera. W tym trudnym dla Sławy czasie wiernym i bliskim towarzyszem jej zmagañ był Edmund Rupniewski, lubelski lekarz, współdziałający z Gwiźdźdem na polu narodowowyzwoleńczym.

Drugą z kolei ważną datą w życiu Sławy był rok 1920, a praca w charakterze sanitariuszki w przyfrontowym szpitalu stała się skutecznym *antidotum* na własne rozterki. Bezpośrednie przeżywanie ludzkiego cierpienia oraz lektura twórczości E. Słońskiego,



Sława Pruszyńska, przed 1914 r.
(fot. Henryk Schabenbeck, Zakopane,
z archiwum Jana Skłodowskiego)

E. Małaczewskiego i najwybitniejszego legionowego poety, S. Długosza, nastroiły jej poetykę na inną, nową nutę. Odnajdziemy ją w zwrotkach pochodzącego z tego czasu wiersza *Obrazek święty*:

Wśród listów i kartek z pola
Malutki obrazek leży
Dał mi go ktoś ze szpitala
Jadących we świat żołnierzy...
Kto dał obrazek ten – nie wiem...
...Był zachód – czas przedwieczery –
Ktoś z chorych dał go w szpitalu,
Z jadących we świat żołnierzy...

Poetka tedy, która dawniej za wszelką cenę starała się znaleźć w oku cyklonu, wydostała się z niego na zewnątrz i teraz jest już tylko jego obserwatką. Przesilenie nastąpiło. Sława przemogła siebie i choć jej myśl była nadal nostalgiczna, stała się nieco pogodniejsza, nawet smutek czyniąc „dobroczynnym”. Poetka pogodziła się z istnieniem cyklonu, a on sam zlagodniał: dni stały się już „dobrotliwe”, a świat otaczający postrzegany jako miejsce, gdzie można i nawet trzeba poszukiwać piękna. W wierszu *Dal* wyznała:

Kusi mnie życia jasna dal
Uroczą – jak kwiat czereśni –
Dobry – jak snów dziecięcych żal –
Jak wiosną – pieśni...

Wiersz ten pochodzi ze zbioru powstałego w Lublinie i Zakopanem pod znamienym tytułem *Tęcze pogody* (wydanego przez Gebethnera i Wolffa w 1922 r.). Był to trzeci i ostatni tomik jej poezji, nie oznacza to jednak, że pisać przestała. Mieszkała właściwie już stale w Zakopanem i była jednym z wielu tamtejszych twórców uzależnionych trwale od *zakopianiny* wzmocnionej widokiem Giewontu.

Wtedy to, w latach międzywojnia, ale też i późniejszych, wojennych, napisała pod pseudonimem S.E. [Stanisławy Edwardy] Rawiczówny liczne cykle wierszy, które zamierzała wydać w zbiorach zatytułowanych *Wiersze zbyteczne* i *Dym*. Nadal, choć nie tak jak niegdyś, nawiązywały one do dawniejszych, młodopolskich klimatów bezradnego smutku, przemijania i rozterek duchowych nawiedzających Poetkę, częściej przeto w nich o jesieni niż o wiosnie, o pożółkłych liściach niż o kwiatach. Odnajdziemy również utwory będące wyznaniem porywów serca – zwiewne,

zawołowane mgielką niedomowienia wiersze miłosne, ale też niekiedy w swej puencie naznaczone śmiałym znamieniem erotyku. Znaleźć tu można i utwory inspirowane fantastyką dziecięcych baśni o bohaterze świata wyobraźni Poetki – zaczarowanym królewiczu, którego (bez wątpienia?) czuje się towarzyszką. Świat baśni jest bezpiecznym schronieniem, zwłaszcza dla wrażliwości duszy, ale może też Poetka przeczuwała nadciągającą katastrofę? Utwór powstał 30 sierpnia 1939 r., a dni po nim następujące nieodwołalnie burzyły beztroskę każdej zresztą baśni. Pojawiają się też inne w nastroju i wyrazie wiersze, gdy duszę Sławy wypełniały „uśmiechnięte nieba”, skłaniające ją do optymistycznego, lecz zawsze refleksyjnego postrzegania otaczającej górskiej przyrody. Zna-



Sława Pruszyńska (stoi) z nieznaną osobą,
lata międzywojenne, Zakopane
(fot. J. Oleszczak, z archiwum Jana Skłodowskiego)

miennie natomiast, że zwykle wersy swych utworów kończyła wielokropkiem – czy miał on być jedynie świadomym niedopowiedzeniem, warsztatowym zabiegiem dla podkreślenia, że wyjawiała nie wszystko, co gra w duszy, a może także stanowiącym zaproszenie czytelnika do wspólnego snucia ciągu dalszego zaanonsowanej poetyckiej wizji?

W rękopisie pozostały także jej tłumaczenia poezji autorów obcych, więc z francuskiego – Ch. Baudelaire’a, P. Géraudy’ego i P. Verlaine’a, z niemieckiego – G. Brittinga, F.J. Demla, H. Heinego, H.K. Hessego i H. Lastibudois, wreszcie z rosyjskiego – S.J. Nadsona, którego smutek i pesymizm tak bardzo był bliski jej własnym poetyckim nastrojom i wizjom.



Dwór Pruszyńskich w Kozaryńówce, przełom XIX/XX w.
(fot. nieznaną, z archiwum rodziny Sławy Pruszyńskiej)

Ostatnie lata życia, a jednocześnie okres okupacji hitlerowskiej, spędziła w willi Limba, tej samej, w której trwały wspomnienia dawnych pobytów Karłowicza i Szymanowskiego i do której okien bezustannie zaglądał Giewont. Tworzyła regularnie, choć z przerwami, nieustannie za to zносиła nędzę wojennego bytu, od której odskoczną były wspomnienia bezpowrotnie utraconej Ukrainy – ojczyzny jej dziecińskich i młodych lat; nastrój ten zaś wyraziła pełną nostalgii mową wiązaną w takich wierszach jak *Dzieciństwo*, *Przodkowie* czy *Kraj dzieciństwa* – oto ostatnia zwrotka tego wiersza:

Jakże mi bezpowrotnie, gorzko, żal bez granic...
Tęsknota, zbyt mą duszę poniosłaś kaleką –
Tyś jest winna, że cały kraj ten dałam za nic
I odbiegłam od dni tych szorstko i daleko.

Pozostały wreszcie, oprócz wspomnień, ostatnie znamiona dawnego dostatku – kilka naczyń podróżnych wiernie jej towarzyszących na wszystkich drogach życia i wreszcie fotografia Żeromskiego z odręczną dedykacją: „Błogosławiony niech będzie dzień, w którym poezję jako kobietę spotkałem”. Jak wiadomo, łatwiej żyć poezją niż z poezji, zwłaszcza

cza w czas wojny, więc egzystować Sławie Pruszyńskiej pomagała dawna służąca, ostatni żywy symbol minionych dostatnich lat, która, sama też nędzarka, wychodziła do miasta, by zdobyć coś dla swej pani. Zaostrzenie choroby w ostatnich dniach wojny sprawiło, że nie dane jej już było ujrzeć nowych tęczy i pogód, a przecucie to zawarła w ostatnim swym wierszu z pierwszych dni mroźnego stycznia 1945 r. – tak brzmi ostatnia jego zwrotka:

Usta co dzień chcą chleba okruszyn,
Jako ptaki wśród mroźnej zawiei –
Głód nam pisze słowa beznadziei –
I jak popiół już są nasze dusze.

W kilka dni później, 7 stycznia, już nie żyła, zatarłszy uprzednio wszelkie znaki mogące umiejscowić ją w historii i ludzkiej pamięci jako Sławę Pruszyńską. Dopilnowała za życia, by po śmierci stać się Stanisławą Rupniewską (niby, dla szukających obyczajowego skandalu, siostrą Edmunda), mającą definitywnie zastąpić dawną Sławę, po której pozostanie jedynie data ostatnia. Do tej mistyfikacji miała pełne prawo nie tylko jako poetka (poeci to wszakże wielcy mistyfikatorzy rzeczywistości), lecz także upoważniła ją do tego choćby trudna, czasami tragiczna, droga życia osobistego. Owa bogata w takie zdarzenia i przeżycia podróż rozpoczęta nad Dnieprem, a zakończona pod Giewontem, nie wolna od perypetii rodzinnych i zdrowotnych, wiodąca przez lata rozbiorowej niewoli, czas wolności międzywojnia i mrok okupacyjnych lat. Podróż, która ją ukształtowała i podczas której tworzyła, która wiodła ją przez czas inspirującego twórczo dekadentckiego mocowania się z samą sobą i światem, wewnętrznego wyciszenia po przeżyciach I wojny i wreszcie afirmacji ostatniego okresu życia pod Tatrami.

Tatry – one to były dla Poetki ważne przede wszystkim jako kształtujące klimat (w szerokim rozumieniu tego słowa) położonego u ich podnóża Zakopanego, gdzie osiadła, nierozłączne z nimi związane; Tatry jako zjawisko kulturotwórcze o randze symbolu – wyrażonego choćby w *Nietocie* Tadeusza Micińskiego jako *Księżę tajemnej Tatr* i legendzie odnoszącej się do przywrócenia niepodległości dzięki „zaśnionym” giewontowym rycerzom – tworzyły metafizyczne klimaty ówczesnej letniej stolicy Polski. Pruszyńska zapewne w głębi samych Tatr nie bywała, jedynie w popularnych, łatwo dostępnych dolinach. Niemniej bliski, zagląający w okna widok często ośnieżonych regli i tatrzańskich wierchów utrwa-

lał Pruszyńską w ich nieodwołalnej obecności ujawniającej się w strofach jej wierszy. To ze zjawiskami tatrzańskiej aury wszystkich pór roku i szczegółami przyrodniczego oraz pasterskiego krajobrazu stanowiących tło jej duchowych rozterek zderzały się poetyckie, często melancholijne konstatacje z bardzo intymnych peregrynacji po tajniach własnej duszy. Tak było nie tylko podczas pierwszych bytności pod Giewontem, około 1905 r., lecz również następnych, także wtedy, gdy zamieszkała pod nim na stałe. I choć słowo „Tatry” we wspomnianych utworach nie pojawia się, nie ma wątpliwości, że to właśnie ich bliskość i „promieniowanie” inspirowały do złożenia tych wierszy.

Przywołajmy tu jej wczesny wiersz *Przeczucia*, w którym smreki okryte śniegiem pozwalają ciszą swego zjawiska ujawnić bardzo młodopolskie smutki duszy:

Ach, jak mi smutno... Śnieg od rana prószy...
Smreki ubrane w to najbielsze kwiecie –
I jaśniej jakoś, pogodniej na świecie...
A mnie tak smutno... Jednej bratniej duszy
Pragnę... Tak cichej, jako dziś te drzewa,
Co takie białe, nieruchomo stoją...
Duszy, którąbym nazwać mogła: moja!...
Duszy, co kiedy hymnem się rozśpiewa,
To takie smutki zeń wieją bezbrzeżne!...
Duszy, co jakby nieznaną świątnicą,
Ma tak królewskie i milczące lica...
Duszy, tak białej, jak to kwiecie śnieżne...

(*Poezje I*, 1905)

oraz kolejne, w których na przekór dekadenskiemu smętkowi pojawia się załączek radości oczekiwania na pomyślną odmianę, jak w utworze *Wiosna*, w którym po sennej wizji mijającej zimy nadchodzi wiosenny czas dający duszy uśmiech i mimo wszystko optymizm wobec tego, co niesie los:

...Wije się snów mych biały sznur...
– Ponad jeziorną, srebrną toń
Idź duszo moja i lzy roń –
Już idzie wiosna z poza gór...
...Wije się snów mych biały sznur...
– Wicher smreki dumnie miota...
Przędza się rwie, różana, złota –
Już idzie wiosna z poza gór...

Śnieg

I

Śnieg, śnieg, co w górach jest najbardziej cichy
I bielony wieki w jakiej stronie świata —
Szemraże włosy spleta i rozplata ...

Śnieg, śnieg, co w górach jest najbardziej cichy
I bardziej słodkim jest w Karzym powiecie —
Wie o błogocinie wiele — lub nie wie wie ...

Wzbudza i kształci wchłania wciąż przapycha
I ponad wszelki ból uszko wyrosta —
Zhytecznym zde się w cienkiej próżni miasta

Śnieg — śnieg, co w górach jest najbardziej cichy ..

II

Skroniom i oczom sumudnym niepotrzebny —
Śnieg — śnieg, co w wieście jest nie wiedzieć po co —

Bo się w nim zadaje smerki nie zdoga
I zaden szczyt się nie widzi — podniebny ...

Skroniom i oczom sumudnym niepotrzebny —
Śnieg — śnieg, co w wieście jest nie wiedzieć po co ..

...Wije się snów mych biały sznur...
– Zasnuły niebo szare mgły...
Dusza uśmiecha się przez lzy –
Już idzie wiosna z poza gór...

...Wije się snów mych biały sznur...
– Zimowe tracę z oczu śniegi...
Znów nienazwane widzę Brzegi –

Hej! Idzie wiosna z poza gór...

(*Poezycje I*, 1905)

czy przyjazny baśniowy ton w wierszu *Wiosenny śnieg*:

Jak cicho pada śnieg... Z dali kędyś, rzewnie,
Ostatnia pieśń, melodia harfy smętnej płynie...

Baśń o śpiącej w głębinach czarnych wód królewnie –
O nawiedzanej snami boskimi dziewczynie...

Jak cicho pada śnieg... Z chmurnej, szarej dali,
Z podniebnych idzie szczytów ku mrocznej dolinie

Harfiana baśń – ostatnia... Jak lka, jak się zali...
O królewnie, uśpionej na łożu z koralami...

Śnieg biały przed oczyma winie się i winie...

(*Poezycje I*, 1905)

Śnieg górski, ulubiony przez Poetkę zimowy motyw, pojawia się i w innych jej utworach powstałych w latach późniejszych, cechujących się owym wyciszeniem i afirmacją wobec rozterek duszy. Cichy i miękki, obcy miastu, tłumi jego rozgardiasz, dając myśli wytchnienie w świecie tatrzańskiej przyrody. Wyraża to wiersz *Śnieg*:

I

Śnieg, śnieg, co w górach jest najbardziej cichy
I bielszy niżli w jakiej stronie świata –
Szemrzące włosy splata i rozplata...

Śnieg, śnieg, co w górach jest najbardziej cichy
I bardziej słodkim jest w każdym powiewie –
Wie o błąkaniu wiele – lub nic nie wie...

Wzbudza – i tęsknot wchłania wciąż przepychy
I ponad wszelki ból miękko wyrasta –
Zbytecznym zda się w ciemnej próżni miasta...
Śnieg, śnieg, co w górach jest najbardziej cichy...

II

Skroniom i oczom smutnym niepotrzebny –
Śnieg, śnieg, co w mieście jest nie wiedzieć poco –

Bo się w nim żadne smreki nie złocą
I żaden szczyt się nie bieli – podniebny...

Skroniom i oczom smutnym niepotrzebny –
Śnieg, śnieg, co w mieście jest nie wiedzieć poco...

(*Wiersze żyteczne*, 2016)

Kolejny utwór – *Mała radość*, ukazuje, jak tatrzański śnieg, wraz z blaskiem złocącym góry, pozwala pokonać smutki dnia bieżącego i ukryć te z dni poprzednich:

Spotkała mnie mała radość,
Choć dzień smutkiem mnie zmógł –
Oto znów zawiał śnieg w nocy
Wczorajsze ślady mych nóg...

Codziennie idę tą drogą
W zachodni, zimowy czas –
Codziennie blask złoci góry
I białą okryty las...

Codziennie idę tą drogą
W ten cichy, puszysty śnieg –
I gorycz codziennie nowa
Wypacza myśli mych bieg...

A jednak idę w tęsknocie,
W tęsknocie jutrzejszych zmian –
Bo wierzę, że na uśmiechy
Dzień każdy ustom jest dan.

Bo wierzę, że znów, za chwilę,
W śniegowy wtulona blask,
Zajrzy mi w oczy pogoda,
Ta siostra słonecznych łask...

Spotkała mnie mała radość,
Choć dzień smutkiem mnie zmógł –
Oto znów zawiał śnieg w nocy
Wczorajsze ślady mych nóg...

(*Tęcze pogody*, 1922)

podczas gdy wiersz *Zimowej drogi*... oddaje poprzez cichą śnieżną biel spokój duszy:

Zimowej drogi bieleje szlak –
Śnieg na smrek prószy –
Wokoło cicho – pogodnie tak,
Jak w mojej duszy...

Galęzi białych nie trąci ptak,
Wiatr chłodny nie poruszy...
Wpółśród drzew szczęście śpi cicho – tak,
Jak w mojej duszy...

(*Tęczę pogody*, 1922)

zaś utwór *Owity bielą*... – tęsknotę wolności:

Owity bielą smrek
Galęzie w śniegu chyli –
Pogodny, cichy lek
Na gorycz owej chwili...

Tęsknoty gwiazdny szlak
Na niebie lśni daleko –
Otom znów wolna, jak ptak,
Pod jasnych gwiazd opieką...

(*Tęczę pogody*, 1922)

Śnieżne klimaty nie opuszczają Poetki. Uświadamiają, że wiosna jeszcze odległa, a mroząca świat zima napawa refleksją przemijania młodości. Wiersz *Lęk* jest odbiciem takich właśnie odczuć Sławy:

Skrada się do mnie pocichu,
W liściach zmarzniętych szeleści –
W sopli zawisłych kielichu
Barwami kwiatów mnie goni –
Czyha w tęsknocie mych dłoni –
Ta najsmutniejsza z wieści...

W blask dzienny, w śnieg się otula,
W dalekie wichrowe wonie –
Po drogach śnieżystych hula,
O wiosnie szumiąc po lesie –
W mrok nocy szept cichy niesie –
Że młode dni moje trwonię...

(*Tęczę pogody*, 1922)

Motyw zimy i śniegu pojawia się wreszcie w wierszu *Zmierzchy*, powstałym zapewne w latach wojny. Wyraża samotność i wynikający z niej smutek tęsknoty za pędem nart, uosabiającym pragnienie wolności:

Pod chmurnem, milczącym tem niebem
Już zbyt jest duszno i ciemno –
Nie przyjdzie nikt dzisiaj by ze mną
Podzielić się smutku chlebem...

Nie przyjdzie nikt, nie opowie,
Czy zachód był dzisiaj jaskrawy
I czy odsłonił wiatr trawy
I mokre w śniegu listowie...

I nie opowie nikt o tem,
Że chłodził mu szumny wiatr głowę,
Gdy pędził od słońca z powrotem
Przez zbocza złociste, smrekowe.

Że było mu dobrze, szaleńczo –
Że narty pędziły ogromnie –
Lecz błysnął mu w oczy śnieg tęczą
I mocno zatęsknił znów do mnie.

Że gonić go jęły tęsknoty –
Otarły się skrzydła óń mewie –
I pędził przez cudny pas złoty
Bez tchu, że aż o tem sam nie wie.

Że nutę zna zmierzchów okrutną
Pod chmurnem, milczącym tem niebem –
I – wiedząc, że nazbyt mi smutno,
Chce moim podzielić się chlebem.

(cykl: *Śniegi, inedita*)

Tatry, choć bliskie fizycznie, symbolizują też ideał, do którego, zwłaszcza w trudnych chwilach, ulatują tęsknoty tulacza bląkającego się po meandrach swych myśli, a ich szczyty – wskazują dobry kierunek. Mówi o tym wiersz *Wybawcie mnie*:

Wybawcie mnie przyjaciele,
Od dawnych przyjaciół szersi –
Tęsknota za górami
Zjawiała mi się w piersi...

Tęsknota za górami –
Co ona w piersi znaczy
Wie ów, co nazbyt długo
Był z niepoprawnych tulaczy...

Był z niepoprawnych tulaczy –
Pokąd w porywie olśnienia,
Nie wybelkotał niezgrabnie
Ich najslodsze imienia...

Ich najslodsze go imienia,
Co przeciw zlu jest obroną
I dręczyć może po nocach
Tęsknotą nie przemarzoną.

One tam (nie wiem napewno –)
Osnuly się bielą świeżą,
Że oczy bezsenne, głodne,
Nad wszelką miarę rozszerzą...

Nad wszelką miarę rozszerzą –
Cóż bardziej zadziwić może,
Nad jasność górską u szczytów –
Nad pomrok górski w jeziorze...

Wybawcie mnie, przyjaciele,
Od dawnych przyjaciół szersi –
Tęsknota znów za górami
Zjawiła mi się w piersi...

(*Wiersze zbyteczne*, 2016)

W utworach Sławy pojawiają się też akcenty bardziej optymistyczne, gdy myśli jej, niesione wichrem, uciekają od zgiełku codzienności ku wizji bezgranicznego szczęścia zawartego w rozgwieżdżonym niebie. Wiersz *Rozgonił wicher...* jest tego wyrazistym przykładem:

Rozgonił wicher chmur złowrogich grzywe
I nieokryte już żadną zasłoną,
Gwiazdy w głębinach nieba cicho płoną –
Gwiazdy – bez granic czyste, bez granic szczęśliwe...

W dali zostało drobne wszystko i zgiełkiwe:
W piersiach mam pełnię... Wicher huczący jak rzeka –
I czujna – pieszcząc w dłoniach mych szczęście pierzchliwe,
Na myślach włokę smutek złamanego smreka...

(*Tęczę pogody*, 1922)

Wewnętrzne wyciszenie i afirmacja świata coraz częściej ujawniają się w twórczości Pruszyńskiej. Wspiera ją w tym baśniowy świat Tatr, ich drzewa, kwiaty, szumiące potoki, bezmiar wiatru i śpiew ptaków, z takim się identyfikuje i uczuciowo zespała. Wiersz *Wszystko co kwitnie, tęskni...* w pełni ukazuje stan jej ducha:

Rodzeństwo moje, barwne kwiaty, drzewa,
Wszystko co kwitnie, tęskni, szumi, rośnie –

Piosenka cicha, którą w dal ptak śpiewa,
Blasku słoneczny, rozsiany radośnie –

I ty, mgło biała, co spływasz jesienią –
 Sznury twe miękkie tęsknoty kołyszą...
 Trawy wiosenne, co się w słońcu mienia,
 Okryte ciepłą, południową ciszą...
 Łąk barwnych wonne sny, miękkie kobierce –
 Lasy szumiące – spienione potoki –
 Wy, śnieżne płatki, które bielą serce –
 Wichrze – jak bezmiar tęskniący szeroki...
 Ty, siostrze starsza, najcichsza pogodzie –
 I ty kwiateczku dzwoniący płatkami
 Dzwonku liljowy nad szumiącą wodą –
 Jakże was kocham – jak mi dobrze z wami...

(*Tęcze pogody*, 1922)

W poszukiwaniu wewnętrznej ciszy i harmonii pomaga Poetce kontemplacja górskiego lasu i kwiatów – gencjan, w których zanurzenie się daje beztrzęsłą oddalającą tęsknoty. Utwór *Gencjany* jest odbiciem odczuć Autorki:

W ciemnym błękitcie gencjan słodko zanurzona
 Wchodzę w las poprzez deszczem namokłe igliwie –
 Chwytam je wciąż w tęsknocie – tak beztręsko – chciwie –
 Jakgdybym szczęście wielkie zgarniała w ramiona...
 Patrę w las – w niebo – w ścieżek deszczowe kałuże –
 Czasem gałązka w kroplach o twarz mi się otrze –
 Cieszę się bez pamięci: takie duże – duże –
 Mokre – ciemne – błękitne – i z kwiatów najśodsze...

(cykl: *Tęsknota*, *inedita*)

Pruszyńska pragnie też, dla zapomnienia codzienności, zachować błogostan przeżywanej chwili, choć zdaje sobie sprawę z jej przemijania. Pragnie klimat zamglonych łąk wypełniony brzękiem pszczół i dzwonekami owiec zatrzymać niczym w kadrze swego takiego ujrzenia świata, jakim chciałaby, aby pozostał. Wiersz *Dzwonki owiec* nie pozostawia co do tego wątpliwości:

Patrę w zachodu nieodkryte złoto...
 Odkąd świat zgłębów odemnie daleko –
 Za nieomylną zapomnienia rzeką,
 Sama – ze swoją tęsknotą...
 Dzień mija cicho – i słodszy tem właśnie
 I wypełniony słońcem niby kielich,

Że nic nie wglądnie tu, nic nie zadraśnie,
I że nie będzie nic, prócz gwarów pszczelich...

Nie straszy jeszcze żadna wieść o chłodzie –
Burza nie maści znikąd ptaków pieśnię
I nic nie przeczy niezmiennej pogodzie,
Prócz ust skrzywionych niezmiennie boleśnie...

Patrzę w zachodu dobre blaski skośne –
Mgielka złocista wkrąg osnuwa łąki,
Po drogach dźwięczą drobne owiec dzwonki
I milkną wręście bezgłośnie – bezgłośnie...

(Wiersze zbiteczne, inedita)

Poetka chętnie wypatruje gór, nawet pograżonych we mgłę i slocie. Wizja oddalenia od pustoty ludzkiego zgiełku i znalezienia się pod obłokami tatrzańskiego nieba, nad szumiącymi potokami, przywraca spokój dzięki upartemu trwaniu natury. Strofy tryptyku *Góry* dają obraz poetyckich doznań Sławy:

I

Idę pod górskim obłokiem
W potoku cud rozszumiany –
Może przed smutnem mem okiem
Zabłyszczą mile gencjany...

Wśród blakających się ludzi
Pusto jest wciąż i zgiełkliwie –
Tu słońce co rano budzi,
Pachnie smrekowe igliwie.

Myśl zatroskana się błąka,
A troską jej wciąż jedyną –
Co słodsze: deszcz, słońce, łąka,
Czy owce, co się nawiną...

(Wiersze zbiteczne, 2016)

II

Słów niema by mówić o tem –
Belkoczą tak jak niemowa –
Jak skalne szczyty mgła chowa
I jakim słońce lśni złotem.

Jak szumią w górach potoki,
Czy nie spłowiwały gór ściany –
I czy nad szczyt poszarpany
Wędrują sobie obłoki?...

Codzienny pęd i odnowa –
Smreków wysmukłych starcie...
Belkocze tak jak niemowa –
Niezdarnie wciąż i uparcie...

(cykl: *Góry, inedita*)

III

W otwarte patrzę się okno
Na lśniący, zmoknięty plot,
Na smreki, co cicho mokną,
Wśród upragnionych mych slot...

W marzeniach moich widziany
Tylekroć deszczowy świat...
Moknące liście i ściany
I dachu sterczący płat...

Zwolna rozciąga się slota –
Znów więcej i deszczu i chmur –
Przymruża oczy tęsknota
I wypatruje wciąż gór...

(*Wiersze zbytyczne, 2016*)

Natomiast utwór *Za tyle głuchych dni...* pokazuje, jak ważne dla Poetki są góry i przeżycie choćby chwili krótkiego ich słonecznego lata – symbolicznej zapłaty za poszukiwanie własnych dróg i rekompensującej niosącej pustotę codzienność, niby długą zimę. Oto przemawiające wersy tego utworu:

Za tyle głuchych dni błakania pośród dróg
Coś musi być zapłatą –
Zabłyśnie w oczy me – słoneczny, złoty smug
Krótszy – niż górskie lato...

Wypijać będę wkrąg – to szczęście, co się śni,
Głodnymi wciąż oczyma –
Za tyle pustych dni, za tyle białych dni
Dłuższych – niż górską zima...

(cykl: *Tęsknota, inedita*)

Motyw rozgrzanych słońcem hal nadal jest bliski Sławie jako utwierdzający ją w dotknięciu szczęścia. Świadczą o tym strofy wiersza *Kędyś w wieczoru...*:

Kędyś w wieczoru łagodnym powiewie
Przychodzi do mnie cichy, dobry żal –

Snom mym wyśnieża białe skrzydła mewie,
Wspomnienie niesie – o którym nikt nie wie –
Szczęście wygrzanych letniem słońcem hal...

(*Tęczę pogody*, 1922)

W wierszu *Tu, gdzie czas mierzy się...*, ostatnim ze znanych utworów Poetki, w którym pojawia się wyraźny tatrzański motyw, ukazuje się oczekiwanie świata takiego, jaki zaistniał w górach, gdzie czas płynie ku swemu nieodwołalnemu spełnieniu własnym rytmem, niosąc ogrom piękna przerastający możliwość ogarnięcia go przez słabą ludzką istotę, którą Autorka uosabia i z którą się identyfikuje. Wczujmy się tedy w jego wersy:

Tu, gdzie czas mierzy się szumem potoku
I nadchodzącym z wolna złotem liści,
Gdzie nie ma zgrzytu dla tęsknot i wzroku
I złuda – jawą się codziennie iści –

Blask zgoi zwolna skrzydła z bólu znamion
Rozmilowane w tym przestrzennym niebie –
Tu, gdzie zbyt słabą jest moc snów i ramion,
By ogrom piękna móc zagarnąć w siebie...

(*Wiersze żyteczne*, 2016)



Willa Limba przy ulicy Zaruskiego (d. Ogrodowa)
w Zakopanem, stan w 2015 r. (fot. Jan Skłodowski)

Należy zauważyć, że i w wielu innych utworach Pruszyńska zawarła swe spostrzeżenia i wrażenia wywołane obcowaniem z tatrzańską przyrodą i właściwym wysokim górom klimatem niosącym ekspresyjne, ale też malownicze zjawiska pogodowe. Niemniej są to jedynie marginalne, skromne nawiązania, zaledwie muskające zasadniczą treść i ekspresywność tych wierszy, które choćby z tego powodu trudno uznać za tatrzańskie.

Niech więc złożone przez Sławę Pruszyńską strofy poprowadzą Czytelnika do Jej ojczyzny – poezji, która rodziła się również pod Tatrami, która stanowiła treść oraz sens Jej życia i której do końca pozostała wierna.

Wnukom Poetki – Pani Monice Gębicz oraz jej Rodzeństwu – składam podziękowanie za udostępnienie do druku archiwalnych fotografii wybranych z rodzinnego zbioru.

Wiersze Sławy Pruszyńskiej ukazały się w zbiorach:

Poezje I, Warszawa: Skład Główny w Księgarni Jana Fiszera, 1905.

Najdalszym, Kraków–Warszawa: Księgarnia D.E. Friedleina, E. Wende i Sp., 1907.

Tęcze pogody, Warszawa: Gebethner i Wolff, 1922.

Wiersze zhyteczne (wybór i wstęp Jana Skłodowskiego), Kraków: Miniatura, 2016.

